

„Delta czasu” –
pamięć o powojennej
historii Polski
w zapiskach,
wspomnieniach
i wierszach Floriana
Śmieji



Florian Śmieja w mundurku gimnazjalnym z młodszymi braćmi Alojzym (po lewej) i Jerzym (po prawej stronie) oraz kolegami. Kończyce, 17 sierpnia 1938 roku.

Aleksander Trojanowski (*Wrocław*)

W Bibliotece Śląskiej ukazała się w ubiegłym roku książka *Delta czasu* autorstwa Floriana Śmieji, wybitnego polskiego iberysty, tłumacza i poety, zamieszkującego w Mississauga (Kanada). Książka zbiera notatki i zapisy o charakterze wspomnieniowym, ukazując jej autora jako tłumacza w najszerszym sensie tego słowa – mediującego na co dzień między kulturą polską, kanadyjską, brytyjską, hiszpańską czy szerzej – między różnymi

kulturami Zachodu. Zachęcając czytelników, by sięgnęli do tekstów autora, spróbuję pokrótce wskazać tu jej główne wątki.

Poeta angielski napisał, że żaden człowiek nie jest wyspą, że nie służy mu zasklepienie się w sobie. Może więc raczej przypomina konfluencję delty, wody w ruchu, mieszającej flukty w gromadzących się dopływach, aglomerat niesionych osadów, zalew, dorzecze, labirynt tętniący ruchem i życiem, penetracją, nieustannym sączeniem i podmywaniem ładu[1].

W ten znaczący sposób Florian Śmieja rozpoczyna swoją książkę. Znaczący, bowiem sens, którym uzupełnia słynną frazę Johna Donne'a wyraża jej ideę przewodnią. Człowiek, jak się wydaje, to jego historia – zarówno ta „mała historia”, którą o sobie opowiada, jak i „wielka” historia, która kształtuje jego życiorys, ale którą też po części sam stwarza. Pamięć minionych wydarzeń okazuje się przede wszystkim „labiryntem tętniącym ruchem i życiem” – zapisem spotkań z innymi ludźmi. Jest to z pewnością niezwykle wartościowy rys wspomnień Floriana Śmieji – pamięć indywidualna okazuje się zarazem pamięcią wspólną, a osobiste zapiski autora ocalają pamięć nie tylko o jednej, ale o wielu biografiach. Portret emigracji wojennej – ale przecież nie tylko, bo ukazane zostały także postaci, z którymi autor zetknął się jako człowiek nauki, poeta i tłumacz – nakreślony jest z czułością, ale i konieczną dozą krytycyzmu, które bezsprzecznie nadają książce

walor dokumentu pewnej epoki.

Wspomnieniom Floriana Śmieji towarzyszy zarazem – z racji samej natury poruszanej w niej materii – atmosfera pewnego kresu. Jak pisze sam autor, „jesteśmy świadkami zmierzchu głośnej emigracji wojennej”[2]. Jest to więc zatem próba opowiedzenia jej historii z perspektywy świadka, czy raczej, jak należało by powiedzieć – uczestnika zdarzeń, a więc opowieść z pierwszej ręki. Proponuję, byśmy dla potrzeb tego krótkiego omówienia przyjęli punkt widzenia czytelnika, który nie wie – nie wie, kim są sportretowane w książce postaci, nie zna kontekstu opisywanych wydarzeń, ani ich znaczenia. Jest to bowiem czytelnik, który będzie przyszłym odbiorcą tej książki. Czego się z niej dowie?

Wypada zacząć od tego, jak sam autor określa cel swojej książki:

Moje wspomnienia i noty mają za zadanie przybliżyć niektóre zachowania i wypowiedzi znane mi osobiście i do nich starałem się ja zasadniczo ograniczyć, nie kusząc się o opracowanie wszechstronnych monografii. Te okruchy i fragmenty doświadczeń z autopsji, z pierwszej ręki, cytaty korespondencji, pragnę dorzucić do wiarygodnych przekazów i źródeł wiedzy o najnowszych dziejach Polski, w tym wypadku o emigracji niepodległościowej na Zachodzie, z

których będą mogli czerpać przyszli badacze, historycy i krytycy.[3]

Dostajemy więc do ręki dokument, mający za zadanie zachować wiarygodne informacje o życiu powojennej emigracji na Zachodzie. W dużej mierze przybiera on formę swoistego leksykonu postaci, z którymi zetknął się z różnych powodów autor. Leksykonu, w którym swoje miejsce znajdują zarówno pierwszoplanowi protagoniści powojennej kultury – jak Jerzy Giedroyc, Czesław Miłosz, czy Leopold Tyrmand (by wymienić tylko kilka obecnych na stronach *Delta czasu* postaci), ale również animatorzy i uczestnicy życia kulturalnego Polonii w Anglii i Kanadzie i – co oczywiste – przyjaciele i najbliżsi.

Warto przy tym zaznaczyć, że osobisty wymiar zapisków Floriana Śmieja nie sprowadza się tylko do tego, że wśród opisywanych wydarzeń pojawiają się również bardziej prywatne wspomnienia. Polega on raczej na tym, że jako czytelnicy mamy okazję przyjrzeć się faktom z perspektywy autora. I ta obecność autora w tekście jest niewątpliwie wartością dodaną całej książki, co ujawnia się przykładowo we fragmencie, w którym autor krytykuje wydaną w 1965 roku antologię grupy poetyckiej „Kontynenty”, do której sam należał. Gdy Śmieja zarzuca redaktorowi tomu, Andrzejowi Lamowi, manipulację, mamy okazję jak w soczewce zobaczyć, jak aktualna jest stawka, o

którą toczy się gra w tego rodzaju pisarstwie historycznym. Choć bowiem czytamy o wydarzeniach ze stosunkowo odległej przeszłości, to widać, jak względną i wrażliwą kwestią jest prawda i jak szczególnie cenną wartością są z tego względu relacje świadków i uczestników wydarzeń.

W szerszym kontekście zebrane w książce notatki, pisane z perspektywy emigranta i poety, który znajduje się niejako pomiędzy kulturą polską a kulturą swojego nowego miejsca zamieszkania, są swoistym przyczynkiem do problematyzacji polskości. Z jednej strony stanowią one przypomnienie, że najnowsza historia Polski nie toczyła się tylko w powojennej Polsce, a więc – innymi słowy – że jest ona nie do pomyślenia bez historii polskiej emigracji. Z drugiej zaś strony, emigracyjne losy ludzi polskiej kultury, a w szczególności poetów, ukazują uniwersalny wymiar ich doświadczenia. Wszak dylematy, przed którymi stawali bohaterowie wspomnień Śmieji, jak np. kwestia języka – czy trzymać się języka polskiego i skazywać na pisarstwo bez publiczności, czy porzucić polszczyznę i pisać w nowym języku – czy choćby dotyczący szczególnie poetów problem tematu – czy mieszkający w Kanadzie poeta powinien stworzyć w polszczyźnie własny obraz Kanady, czy raczej utrzymywać obrazy polskiej przeszłości – to dylematy wspólne wszystkim ludziom kultury, których XX wiek skazał na doświadczenie wychodźstwa.

Wspomnienia Floriana Śmieji, w których, jak się rzekło, odbija się co rusz doświadczenie zamieszkiwania między różnymi kulturami, kontakt z przedstawicielami innych kultur oraz nieustająca konieczność przekładu, pozwoli czytelnikowi spojrzeć dokładniej na sens działalności tłumaczeniowej i naukowej autora. Wspomnienia Floriana Śmieji unaocniają bowiem, że widoczna na pierwszy rzut oka strona tej działalności jest w pewnym sensie drugorzędna. Tymczasem w swojej istocie, zarówno nauka, jak i przekład umożliwiają spotkanie i wzajemne porozumienie międzyludzkie. Niech ilustracją tego twierdzenia będzie opisana w książce historia przeszczepienia myśli brytyjskiej szkoły calderonistów – specjalistów zajmujących się twórczością hiszpańskiego dramatopisarza Calderona de la Barki – na grunt polski, w którym „maczał palce” profesor Śmieja. Historia ta zaczyna się po wojnie, gdy autor jest uczniem wybitnych brytyjskich calderonistów – Alexandra A. Parkera i Edwarda M. Wilsona. Do zajęcia się Calderonem zainspiruje on następnie napotkaną w Madrycie młodą hispanistkę z Polski, Beatę Baczyńską. Stanie się ona z czasem wybitną specjalistką w tej materii, czego symbolem może być kongres calderonistów, zorganizowany przez nią na Uniwersytecie Wrocławskim w 2008 roku. Widać tu jak na dłoni, że nauka, tłumaczenie, szerzej – zajmowanie się kulturą, to w istocie szereg spotkań, wzajemnych inspiracji i wspólnego działania ponad kulturowymi, czy politycznymi podziałami.



Doktor honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego prof. Florian Śmieja wraz z JM Rektorem prof. Markiem Bojarskim i promotorem doktoratu honorowego prof. Beatą Baczyńską. Wrocław, 2015 rok.

Wypada wspomnieć również o poetyckiej działalności Floriana Śmieji, jego wspomnienia pokazują bowiem, w jaki sposób twórczość związana jest z życiem, będąc tak naprawdę częścią tego samego procesu:

Budząc się o świcie, staram się z otwierającej się świadomości wyłuskać oryginalny pomysł, jego zawiązek i wyartykułować jego początek. Powtarzam go i dobieram właściwie słowa, aż upewnię się, że posiadam myśl wartą zachowania. Czasem zdarza się, że równocześnie świta drugi pomysł. Próbuje go również ułoić i wtedy wstaję do

komputera i usiłuję oba wątki zapisać, by utrwalone stały się budulcem wierszyków. Z tych esencji, czytając je wielokrotnie, szykuję wersję ostateczną, dodając i przetwarzając materiał[4].

Esencji takich, poetycko przetworzonych wspomnień, na kartach książki nie brakuje.

Esencjonalność jest zarazem ogólnym rysem tej książki. Na koniec pozostaje bowiem zdumienie, że tak wiele historii, osób, problemów zmieściło się na przestrzeni niecałych dwustu stron. Zapiski Floriana Śmieji są w tym sensie także lekcją pokory i przypomnieniem o tym, jak ulotna i wybiórcza jest pamięć. Czas, który obszerna monografia zredukowałaby może do paru wyrazistych postaci i kilku kluczowych faktów, rozrasta się tu i – co najważniejsze – zaludnia szeregiem barwnych i ciekawych postaci. Warto o nich czytać, żeby nie zapominać i żeby poznawać historie takie jak przytoczona w książce historia ludności pewnej śląskiej wsi, która w całości wyemigrowała do USA pod przewodnictwem księdza Leopolda Moczygęby, zabierając ze sobą ziarno siewne, pług, krzyż i dzwon kościelny, by w 1854 roku założyć w Teksasie miejscowość Panna Maria. Takich nieoczywistych a znaczących historii znajdzie czytelnik w *Delcie czasu* więcej.

Florian Śmieja, *Delta czasu*, Biblioteka Śląska, Katowice, 2018.



Florian Śmieja
Delta czasu



Florian Śmieja
Delta czasu

[1] Florian Śmieja, *Delta czasu*, Biblioteka Śląska, Katowice, 2018, s. 9.

[2] *Ibidem*, s. 7.

[3] *Ibidem*, s. 8.

[4] *Ibidem*, s. 9-10.

„Życie rodzinne Zanussich. Rozmowy z Elżbietą i Krzysztofem” Barbary Gruszki-Zych



Od lewej: Elżbieta Grocholska-Zanussi, Krzysztof Zanussi i Barbara Gruszka-Zych, fot. Witold Modrzejewski.

„Życie rodzinne Zanussich. Rozmowy z Elżbietą i Krzysztofem” Barbary Gruszki-Zych, to pierwsza książka pokazująca dotąd mało znane życie prywatne Krzysztofa Zanussiego i jego żony Elżbiety. Tę sferę wybitny reżyser przez lata otaczał dyskrecją. Jego legendarna powściągliwość i arystokratyczny dystans sprawiają, że jest osobowością nie dającą się zamknąć w żadnym schemacie. Książka Gruszki-Zych pozwala jednak dotknąć tajemnicy Zanussiego, którą w dużym stopniu pomaga odkryć jego żona Elżbieta. Oboje są artystami, ale o malarstwie Elżbiety, wywodzącej się z arystokratycznej rodziny Grocholskich i Czetwertyńskich, jest mniej głośno. Dała mężowi pierwszeństwo, uznając, że to on ma większy talent i możliwości oddziaływania,

bo jego dzieła filmowe mogą „dotknąć czyjejś duszy” bardziej niż jej obrazy. Rzeczywiście, bez jego filmów, takich jak „Imperatyw”, „Barwy ochronne”, „Cwał”, „Życie jako śmiertelna choroba przenoszona drogą płciową” nie można sobie wyobrazić polskiego ani europejskiego kina. Znakomity reżyser jeszcze nigdy nie dopuścił w rozmowie tak blisko nikogo ze swoich rozmówców. Na skrócenie dystansu wpłynął fakt, że prowadząca ją Barbara Gruszka-Zych przyjaźni się z nim i jego żoną od ponad dwudziestu lat, co, naturalnie, narzuca inną perspektywę. Autorka jest dziennikarką, ale też poetką, czemu daje wyraz w tej rozmowie-rzece. Kilka lat temu opisała przyjaciela Zanussiego – wybitnego kompozytora Wojciecha Kilara w cieszącej się zainteresowaniem książce „Takie piękne życie. Portret Wojciecha Kilara”. Tytuł „Życie rodzinne Zanussich. Rozmowy z Elżbietą i Krzysztofem” tym bardziej zasługuje na uwagę, że w tym roku reżyser świętuje swoje 80 urodziny.

Książka jest dostępna w księgarniach od 8 maja. Można ją nabyć wchodząc na landingpage: zanussi.dzialaniawizualne.pl



Elżbieta Grocholska-Zanussi, Krzysztof Zanussi i Barbara Gruszka-Zych, fot. Wydawnictwo Działania wizualne

O uczuciach

Elżbieta Grocholska-Zanussi: Prawdę powiedziawszy można by się w życiu zakochać ze sto pięćdziesiąt razy i próbować, czy z danym partnerem lepiej się przeżyje kolejnych kilka lat, ale to jest założenie zupełnie idiotyczne, bo wtedy następuje kolosalny rozkład życia.

Krzysztof Zanussi: Pamiętam kluczową dla tego tematu

rozmowę, jaką odbyłem w telewizji rosyjskiej. To były lata dziewięćdziesiąte, miałem wtedy dopiero sześćdziesiąt lat. Prowadząca ją panienka pełna dobrych chęci z naiwnością zapytała mnie: „Dlaczego ma pan tylko jedną żonę? Przecież jest pan znany, jest pan bogaty i zna pan piękne kobiety. Mógłby mieć pan takie urozmaicone życie. Nie ma pan na to czasu czy może to pana nie interesuje?”. Mój kłopot polegał na tym, że najpierw musiałem odpowiedzieć sobie na pytanie: „Co ja teraz chcę przekazać milionom oglądających ten program, którzy tak samo jak ta dziennikarka nic z mojego świata nie rozumieją?”. Powiedziałem jej wtedy o grze „Monopoly” i do dziś uważam, że to był wynik interwencji Ducha Świętego. Oni się wtedy w Rosji bardzo pasjonowali tą kapitalistyczną grą. Jej uczestnicy zdobywają punkty, a zwycięża ten, kto zgromadził ich więcej. Stwierdziłem przed kamerami: „Myśmy z żoną zdobyli bardzo dużo punktów. Jakby trzeba było to wszystko skasować do zera i z nową partnerką musiałbym zaczynać od nowa, to byłaby ogromna strata, bo już nigdy tylu punktów nie zdobędę”. Po latach wspólnego życia bez obaw mogę postawić tezę, że miłość to ciężka praca, a nie jakiś powiew namiętności. W kwestii namiętności mamy spore doświadczenie, obserwując zachowania naszych psów.

E.G.-Z.: Miłość to stały rozwój, który się osiąga ciężkim wysiłkiem. Gdyby z niego zrezygnować, trzeba by za każdym razem biec za kimś, jak to robią nasze psy, kiedy budzi się ich

instynkt.

K.Z.: To odniesienie wymyśliliśmy wspólnie i ono nie jest bez sensu. Moja żona na co dzień przygląda się psom, a ja nieraz miałem możliwość obserwowania zachowań zakochanych koni. To, co się wtedy z nimi dzieje, zadziwia. Z tym, że ich wzajemne zainteresowanie jest intensywne, ale trwa niezwykle krótko. Jeśli widzę, że zakochani okazują sobie miłość tylko przez „wzdychulce”, jak je na nasz użytek z Bietką nazwaliśmy, to, na miłość Boską, mnie to nie wzrusza. Wyjątkowo nie znoszę tych pełnych emocji porywów, przewracania śliskimi oczami, dawania do zrozumienia, że coś się w człowieku zagotowało. Namiętność nie jest tak zupełnie błaha. Myślę, że fakt, żeśmy się zeszli już jako starsi ludzie, też wpływa na to, jak ją postrzegamy. Wiek troszkę ją sublimuje, ale za to relacje robią się głębsze. Po moich studentach widzę, jak inaczej przeżywa uczucia pokolenie, które nie wyrosło na miłości płomiennej, wywodzącej się z tradycji romantycznej. Młodzi stawiają sobie pragmatyczne pytania: „Dlaczego kogoś kocham i co ten ktoś może mi zaoferować?”. (...) Dzisiaj ludzie całkowicie zapominają, że człowiek jest władny powodować sobą. Twierdzenie, że każdy z nas jest skazany na występne postępowanie, jeśli okoliczności go do tego zmuszą, to błąd. Wielu uważa, że kiedy spotyka kogoś atrakcyjnego, to natychmiast musi z nim zdradzić współmałżonka. Podobnie, kiedy spostrzega, że coś smacznego leży na stole, to zaraz po to sięga. Człowiek jest wolny i w każdej chwili podejmuje wybór,

który jest albo dobry, albo zły.

E.G.-Z.: Gdybym w pewnej chwili się zorientowała, że dla mnie ważny jest jakiś inny mężczyzna wtedy natychmiast powiedziałabym Krzysztofowi, żebyśmy wspólnie spędzali więcej czasu, troskliwiej zajmowali się sobą, bo znalazłam się w niebezpieczeństwie. Nie musiałabym od razu z tym drugim iść do łóżka, a jednak czułabym, że trzeba interweniować... Nie znoszę mówienia o seksie, bo to jest tak prymitywne. Miłość to przede wszystkim straszliwy pociąg, którego bardzo ciężko się pozbyć. Trudno zachować takie relacje jak święty Franciszek i święta Klara. Myślę, że oni przeżyli coś niewiarygodnego, ale na poziomie metafizyki, a nie fizyczności. Wzajemne pożądanie przebywania ze sobą sprawiło, że Klara wstąpiła do założonego przez Franciszka zakonu. Pewnie musiała mu tłumaczyć: „Bracia będą się z ciebie śmiać, no to ja zakładam drugi klasztor, a ty będziesz mi pomagał, żeby był równie dobry jak twój”. Mam przekonanie, że straszliwe pożądanie doprowadziło ich do wspólnego odkrycia miłości Boga, która okazała się dużo mocniejsza.



Elżbieta Grocholska-Zanussi, fot. arch. K. i E. Zanussich.

Miłość młodzięcza

K.Z.: (...) Niedawno zmarła osoba, z którą w młodości byłem bardzo blisko, w której byłem bardzo zakochany. Dużo by o tym opowiadać, ale od tamtej pory zostało mi przekonanie, że warto swoje emocje hamować na wszystkich szczeblach. Do dzisiaj trwa we mnie takie zapętlenie uczuć w sobie.

E.G.-Z.: W skrócie trzeba by powiedzieć, że miłością Krzysztofa

z młodzińskich lat...

K.Z.: ...nie miłością, ale pasją... Ja całą jej złą stronę widziałem od początku, a mimo to z nią byłem.

E.G.-Z.: Pasją? A co to jest pasja?

K.Z.: Coś jak namiętność...

E.G.-Z.: No więc Krzysztof ogromnie zainteresował się osobą niesamowicie zdolną pisarsko, drukującą w pismach, przebojową...

K.Z.: ...postawioną dużo wyżej ode mnie w hierarchii światka artystycznego. Monika była wtedy w centrum salonu literackiego. Dziś oglądalibyśmy ją na pierwszych stronach kolorowych magazynów.

E.G.-Z.: Ja nie miałam z tym światem nic wspólnego.

Ale ta osoba wyszła za innego pana...

K.Z.: ...mojego przyjaciela zresztą.

E.G.-Z.: Zajął się nią, korzystając z nieobecności Krzysztofa w Polsce.

K.Z.: Nie, Bietko, przede wszystkim skorzystał z mojego niezdecydowania. Nie wykazywałem żadnej konkretnej inicjatywy.

E.G.-Z.: Krótko po jej ślubie odezwała się straszliwa, niszcząca dalsze życie choroba.

K.Z.: Ta choroba była motorem mojej fascynacji nią. Schizofrenia ma postać tak urzekającą, że można dać się jej uwieść. Czytam o tym, słyszę i widzę to u wielu innych osób. Mają momenty, kiedy posiadają jakąś zupełnie uwodzicielską siłę, prawie magiczną moc zaklinania świata. Z tym, że choroba Moniki wybuchła później, nie wtedy, kiedy się znaliśmy. To moje krycie emocji wzięło się z tamtych czasów a poza tym jestem przekonany, że uczucia trzeba ukrywać, żeby je dobrze pokazać, bo bez tego nie mają formy. Kiedy ją tracę, tracę też wiarygodność. Muszę przyznać, że jestem bardzo wrażliwy na fałszywość uczuć. Źle to znoszę i budzi to we mnie wielki wstręt. Wiem też, jak łatwo nimi manipulować. Często bohaterowie moich filmów manipulują innymi. Ci, żywiący prawdziwe uczucia, są wodzeni za nos przez tych, którzy je udają, zwodząc ich. Tego się zawsze w życiu bałem. Może moje wyczulenie wzięło się właśnie z tamtych czasów? Zresztą to dotyczy spraw nie tylko osobistych, ale również uwiedzenia przez idee. Uwiedzeni nimi przeżywają złą miłość podobnie jak to się dzieje w stosunkach osobistych.



Krzysztof i Elżbieta Zanussi po pokazie filmu „Życie jako śmiertelna choroba przenoszona drogą płciową”, fot. arch. K. i E. Zanussich.



Krzysztof i Elżbieta Zanussi na plaży w Australii, fot. arch. K. i E. Zanussich.

Życie codzienne

E.G.-Z.: Wspólnego czasu z Krzysztofem nigdy nie mieliśmy za dużo... Po ślubie bardzo się starałam, żeby nie zabierać go na wyłączność mamie Krzysztofa, z którą dotąd mieszkał, i przy tej okazji muszę się pochwalić jedną moją zaletą. Kiedy wracał z podróży, to mama siadała przy nim w fotelu i towarzyszyła mu bez względu na to, czym się zajmował. Wtedy kompletnie się wycofywałam, rozumiejąc, że to są ich ostatnie lata i trzeba dać im ten czas.

K.Z.: Mama dożyła prawie setki, a my nasze małżeństwo zawarliśmy po czterdziestce.

E.G.-Z.: Wycofywałam się w sytuacjach, kiedy każda młoda żona trzasnęłaby drzwiami. Znam parę przykładów, pokazujących, jak zaborczość matek szkodzi związkom ich dzieci. Przychodzi mi do głowy sytuacja mojej siostrzenicy z Włoch, której teściowa pierwsza podchodziła do drzwi i przed nią witała wracającego syna. Kiedy młoda żona chciała zawisnąć mu na szyi, to się stawało po prostu niemożliwe. Usuwanie się na drugi plan w podobnej sytuacji było dla mnie pewnym poświęceniem, które uważałam za słuszne.

K.Z.: A jednak czasem wasze relacje nie były łatwe. Nie kształtowały się wyłącznie naturalnie, ale za sprawą świadomej woli. Byłem już starym chłopem i dotąd mama miała mnie na sto procent. Kiedy w życie syna po czterdziestce wkracza inna kobieta, katastrofa jest gwarantowana. Mało tego, chwilę po naszym ślubie mama zamieszkała u nas. Dotąd była królową w swoim domu, a nagle znalazła się u kogoś.

E.G.-Z.: Szalenie sobie ceniłam to, że mama nie chciała mi w niczym zrobić krzywdy, nie utrudniała mi życia. Myślę, że od początku zdawała sobie sprawę, że i tak będzie niełatwe. Bardzo kochała Krzysztofa, a przez niego i mnie. Wydaje mi się, że Krzysztof jest do niej podobny. Zachowywała nieustanną

młodość, co wyszło na jaw na spotkaniu z hiphopowcami, którzy występowali przed Janem Pawłem II, a potem przyszli zatańczyć dla niej. Nie mogła się z nimi nagadać, jakby była ich równolatką. Krzysztof też stale ma wykłady dla młodych. Jednak cechowała ją też nieufność do świata, którą on od niej przejął. Za to umiała sobie radzić z wieloma problemami i nie obarczała nimi innych. Gdy przeżywała trudności w życiu małżeńskim, to bardzo pięknie potrafiła się w tym wszystkim znaleźć. Nigdy też nie narzekała na swoje zdrowie.

K.Z.: Mama trzymała klasę. Spokojnie przyjęła do wiadomości, że nie wolno jej się szarogęsić w naszym domu. Umiała przygotować kilka dobrych dań, ale generalnie nie była artystką kuchni. Właściwie jedyną potrawą, którą przyrządzała lepiej od ciebie, była jajecznica. W zasadzie we wszystkim jesteś dużo lepsza i mama umiała to przyznać.

E.G.-Z.: Co ty mówisz! Przecież mama piekła też genialny sernik! Była bardzo sprawna manualnie i technicznie, i starała się sama wykonywać różne prace. Ale widziałam też, jaki czuje zachwyt, gdy przebiłam ją w praktycznych i technicznych umiejętnościach. Na przykład robiłam obiad w piętnaście minut...

K.Z.: A mama w dwadzieścia ...

E.G.-Z.: A przyjęcie dla pięćdziesięciu osób przygotowywałam w ciągu dwóch i pół godziny. I do dziś nie jest to dla mnie większy problem. Naprawianie kontaktu zajmowało mi tylko chwilę. Kiedy widziałam zepsuty kran, z którego leje się woda, to za moment już się nie lała. Kiedy zauważyłam, że kółko od jej fotela się odczepiło, już po chwili musiało być na swoim miejscu. Mama te moje działania doceniała i szczerze mi to okazywała. To było nadzwyczajne!

(...) Kiedy ktoś się do nas tak dobrze odnosi, to chce się żyć. I chce się robić jeszcze więcej pożytecznych rzeczy.



Krzysztof i Elżbieta Zanussi oglądają zdjęcia, fot. Wydawnictwo Działania wizualne.

O przemijaniu

K.Z.: (...) Sam nieustannie stawiam sobie rozdzierające pytania, które dręczą mnie od dzieciństwa: „Jak się pogodzić ze śmiercią? Jak się z nią spotkać, żeby to nie była tragedia, katastrofa, kropka? Ile trzeba mieć nadziei i jak ją należy chronić, żeby bez uszczerbku donieść ją do końca?”.

Kiedyś w kenijskiej wiosce byłem świadkiem śmierci młodego Masaja. Miałem wrażenie, że zachowujący wtedy ogromny spokój członkowie jego plemienia wiedzą o odchodzeniu coś, czego nie nauczono mnie na żadnym uniwersytecie. Może

posiedli tajemnicę, którą znał też święty Bernard z Clairvaux w moim filmie „Życie jako śmiertelna choroba przenoszona drogą płciową”, kiedy spokojnie przygotował skazańca na śmierć jak na jakieś wyjątkowe, ale przecież tylko przejście.

E.G.-Z.: Krzysztof odczuwa lęk przed śmiercią, bo pozostaje bardziej po tej stronie. Jego wiara jest strofowana przez rozum, który prowadzi na manowce. Rozum z wielką niechęcią przyjmuje to, co go obraża, a więc cierpienie, choroby psychiczne, śmierć. Dlatego przed faktem śmierci czasem dębieje ze strachu. Kiedy na końcu jego filmu „Życie jako śmiertelna choroba” Zapasiewicz mówi do studenta medycyny: „Tnij, to tylko ciało”, jest świadomy istnienia innej perspektywy. Gniecie nas ciało, rozum i psychika, ciągnąca do marności. Poprzez nie odczuwamy cierpienie, zazdrość, nienawiść – to gniazdo os, które chce nas zniszczyć. Piękno i dobro przychodzą z góry. Miejmy nadzieję, że dzień śmierci to będzie nasz najpiękniejszy dzień. (...) Im człowiek starszy, tym bardziej tęskni za zrzuconiem ciała. Czuje, jak jego siły zostają podcięte. Tam klucze zapomniane, tu samochód stuknięty...

K.Z.: Tyle mówimy o umieraniu, a czemu nie przypomnieć teraz słów Goethego: „Trwaj chwilo, jesteś piękna!”. Nie zwalniam tempa – wciąż pracuję na dwóch etatach. Nadal, realizując filmy, odczuwam radość, że wymyślony przeze mnie obraz ożył. A jeszcze większą wtedy, gdy widzę, że ktoś w niego uwierzył.

Muszę przyznać, że w jakimś sensie nie doświadczam jeszcze żadnych ograniczeń wieku. Wciąż podróżuję, latam czasem dwa razy w miesiącu do Stanów i jestem w stanie to wszystko przetrzymać. Im mniej chwil pozostało, tym bardziej się nimi cieszę. Tyle miłości mnie w życiu spotkało, tyle piękna zaznałem. Chciałbym to przeżywać jak najdłużej i nie oczekuję niczego więcej. (...) To, co jest – jest wspaniałe. Choćby ten uroczy moment w naszym ogrodzie. Mówię: „Niech ta chwila trwa”, choć mam 80 lat.

Barbara Gruszka-Zych, Życie rodzinne Zanussich. Rozmowy z Elżbietą i Krzysztofem, wyd. Działania wizualne, 2019.



Polska mgła

w Londynie

Leszek Żuliński

Z pewnym opóźnieniem trafił ten tomik do moich rąk, ale warto o nim cokolwiek napisać i przede wszystkim nagłośnić mało znaną w Polsce autorkę, która od lat mieszka w Londynie. Tutaj zresztą, w Polsce, wydała kilka swoich tomików. W Londynie jest aktywna – współredaguje tam pismo „Pamiętnik Literacki”; należy do miejscowego Pen Clubu. Debiutowała tomikiem pt. *Dziwanna* (1985), ma także sporo innych publikacji, także tomiki wydane w języku angielskim. Jednym słowem, Mickiewicz żyje literaturą. M.in. jest laureatką medalu Gloria Artis.

Zawsze mnie intrygowało, jak po wielu latach emigracji można pisać wiersze do głębi nasiąknięte polską dykcją. U Pani Anny Marii Mickiewicz jest to całkowicie naturalne.

U niej między kanałem La Manche a Wisłą odległość wciąż jest malutka. Oto wiersz pt. *Wieczorami śnię*:

Widzę tańczące dziewczęta

Rozległe bagniska

Wśród łąk

Ktoś śpiewa na Białorusi...

Zamarznięty obraz dzieciństwa

Zatrzymany

Jak w szklanej kuli

Jeżeli wrócę w rodzinne strony

Boję się, że sen ucieknie.

Sentymenty przeszłości są jednym z budulców tych wierszy. Ale

nie tylko one. Autorka często nawiązuje do swoich egzystencjalnych spleenów, jak w tym wierszu pt. *Buty*:

Spotykam ludzi

Obserwuje ich buty

Zdarzają się ciche

I te schodzone

Nie świadczą o zamożności

Niby wygodne

A ograniczają

Wybieramy te, które przeszły wiele mil

Wybieramy naszą własną cichą drogę

Odchodzenia

Przechodzenia przez życie

Wędrowki w kierunku zachodu słońca

Ale nigdy poranka...

Anna Maria Mickiewicz została wyróżniona zaszczytnym tytułem Autorki Roku 2013, nadanym przez amerykański portal literacki „miasto literatów 2000+”, z siedzibą w Orlando. A oto fragment uzasadnienia nadania tytułu:

„Nadajemy Autorce tę Nagrodę przede wszystkim w uznaniu dla wierszy – ich bogatych wartości literackich. Urzekły nas indywidualne doświadczenia, emocje poetyckie opisane z uczciwością, ale bez narzucania ocen, wkomponowane w rzeczywistość, w czasoprzestrzeń – tak dyskretnie, że nikt nie będzie zmieniał poezji w politykę. [...] Świat w czasie i przestrzeni jest jak wielki dywan z wzorami platońskich idei i niemi łączącymi ludzi i wydarzenia. I na pytanie: Dlaczego Anna Maria Mickiewicz? – odpowiemy metaforycznie: w uznaniu dla dywanu”.

Anna Maria Мицкевич бе отличена с почетното звание „Авторка на 2013 година”, дадено от американския литературен портал „Градът на писателите 2000+” със седалище в Орландо. Ето фрагменти от мотивировката за присъденото почетно звание:

„Даваме на авторката тази награда преди всичко в знак на признание на богатите литературни стойности на нейните стихотворения. Очароваха ни индивидуалните опити, поетичните чувства, изобразени с добросъвестност и без натрапване на прещенки, свързани с действителността, с време-пространството така дискретно, че никой не би могъл да промени поезията в политика. [...] Светът във времето и пространството прилича на голям килим с шарки от платонически идеи и нишки, свързващи хора и събития. И на въпроса: „Защо именно Анна Мария Мицкевич?“ – ще отговорим метафорично: „Заради нейния гъстър поетичен килим.”



Anna Maria Mickiewicz poetka, eseistka urodzona w Polsce, od lat mieszka poza granicami kraju, początkowo w Kalifornii, obecnie w Londynie. Najciekawsze z artykułów złożyły się na tom „Okruchy z okrągłego stołu. Polskie impresje z lat 1989-1995” (Lublin: Norbertinum, 2000). W 1985 roku opublikowała debiutancki tom wierszy *Dziwanna* (Galeria Słowa). Ponownie, w wydaniu rozszerzonym, został zaprezentowany pod zmienionym tytułem *Proscenium* (Norbertinum 2010). W 2014 roku opublikowała angielszczyzny tomik *London Manuscript*.

www.faleliterackie.com

Anna Мария Мицкевич е поетеса и есеистка, родена в Полша (гр. Люблин). От доста време живее в чужбина – отначало в Калифорния, по-късно – в Лондон. Най-интересните от тях са събрани и издадени в книгата „Трохи от кръглата маса. Полски импресии от 1989 до 1995 г.” (изд. „Норбертинум”, Люблин, 2000 г.). През 1985 г. публикува дебютния си поетически сборник – „Диван” („Dziwanna”) във варшавското независимо издателство „Галерия на Словото” („Galeria Słowa”). Второ, допълнено издание на тази книга, под заглавие „Авансцена” („Proscenium”), се появява през 2010 г. През 2013 г. англоезичната творба „A Grey Coat” спечелва международния поетически конкурс, организиран от британското издателство „Poetry Space”, а през 2014 г. същото издателство публикува на английски език книгата ѝ „Лондонски ръкопис” („London Manuscript”).



Anna Maria Mickiewicz ANNA MARIA MIKIEWICZ

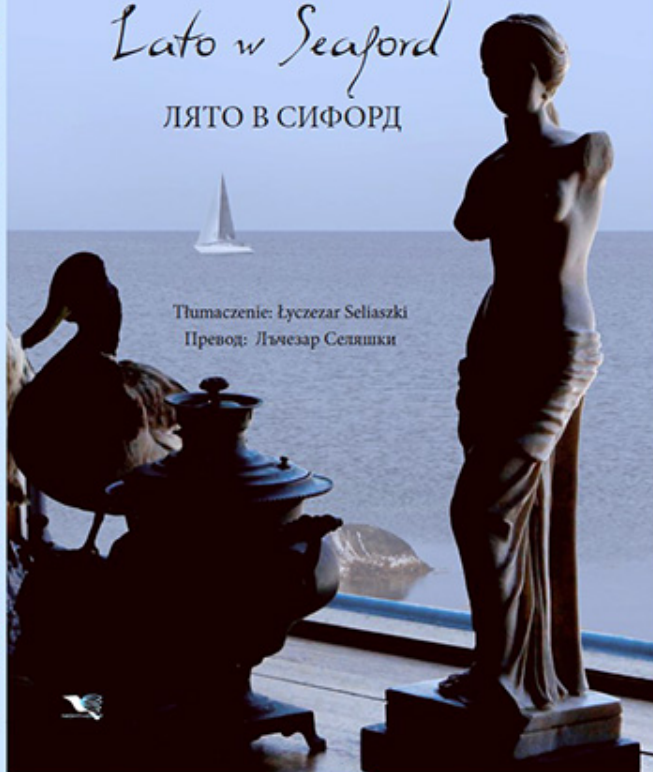
Lato w Seaford ЛЯТО В СИФОРД

Anna Maria Mickiewicz
АННА МАРИЯ МИЦКЕВИЧ

Lato w Seaford

ЛЯТО В СИФОРД

Тłumaczenie: Łyczazar Seliaszki
Превод: Лъчезар Селяшки



Znalazłem tu nawet „ważny wiersz” pt. *Trzynastego Grudnia*:

Wyniośle zacisnąć wargi

Na jak długo?

Parują stawy w lesie

W stronę dalekiego domu

Dym zaciera pole widzenia

Porządek świata

Wzywa pomocy

Rozpadły się słowa „Wywrotowca”

Wywietrzały

jak stara szafa

Niczego nie przypominają żółte kartki

Pod palcami

Lód znaczeń

Runie cesarstwo

Ot tak

nie będzie nawet kartek.

A więc Poetka zatrzasnęła się nie tylko w czystym liryzmie.

Zawsze wydawało mi się, że pisanie wierszy na obczyźnie siłą rzeczy bywa najczęściej z lekka anachroniczne. Po raz kolejny widzę, jak pamięć i język nie murszeją, nie umierają. Bo język jest wciąż ten sam: to kod naszego istnienia! Jego trwałość jest niezniszczalna.

No i na koniec zacytuję wam wiersz zgoła uniwersalny, który zresztą posłużył na tytuł tego tomiku. Jego tytuł: *Lato w Seaford*:

Słońce zrzuca złote krople

Morze pozera je natychmiast

Niebo lśni

Dzień jest nierealny,

Wyrwany z innej opowieści.

Dojeżdżamy.

Kończą się tory.

Przekonujemy się o złudności nieskończonej przestrzeni...

Przechodzimy przez angielskie miasteczko.

Mała stacja,

Tynk odpada nierównomiernie z drewnianych podpór

przed nami ocean mieni się groźnie.

W oddali żółty klif

Wbija się ostro w morze

Nie ma frytek, lodów waty na patykach,

Ciała meduz błyszczą na kamieniach.

Dzień mija ospale,

Szara sylwetka statku.

Na plaży ludzie rozkładają:

Płócienne leżaki, Pomarszczoną skórę.

Jak widzicie: czy w Londynie, czy na Ziemi Ognistej nie tracimy

kodu języka, z którego się wywodzimy. Anna Maria Mickiewicz zasługuje na mocniejsze usadowienie się w naszych lekturach.

Jednego tylko tu nie zrozumiałem... Otóż wiersze w tym tomiku mają także swoją wersję bułgarskojęzyczną (w tłumaczeniu Łyczczara Seliaszki). Nigdzie nie znalazłem notki o tym dlaczego ta wersja. Ale i dobrze: może enklawa bułgarska zapozna się z odrobiną polskiej poezji?

Anna Maria Mickiewicz, *Lato w Seaford*, Wydawca: Alicja Kuberska, Inowrocław 2017, s. 60.

Strajk dzieciaków.
Haiku.



Adam Fiala - tekst, **Anna Fiala** - fotografie

(Perth, Australia)

Strajk dzieciaków

Niskie pensje

W Leśnej Służbie Zdrowia

Meteory- ziarenka piasku

Urozmaicają

Bezksiężycową noc

Teatr NIC

A pełne

Spektakle

I motyl skrzydłami

Bije

Pianę



Droga Zbawienia

Wiodła

Przez pustynie

Ptak w klatce

Śpiewa szczęśliwie

Jedyna obawa: wykwaterowanie

Obrazek

Sępy krążą

Nad tańczącymi derwiszami

Polska Jesień

Wydaje

Szczerozłotą walutę



Jajecznicza Złotej Jesieni

Jest godna

Samego Turnera

Bezzębna staruszka

I ukradziony jogurt

Okrucieństwo dręczącej władzy

Giba się

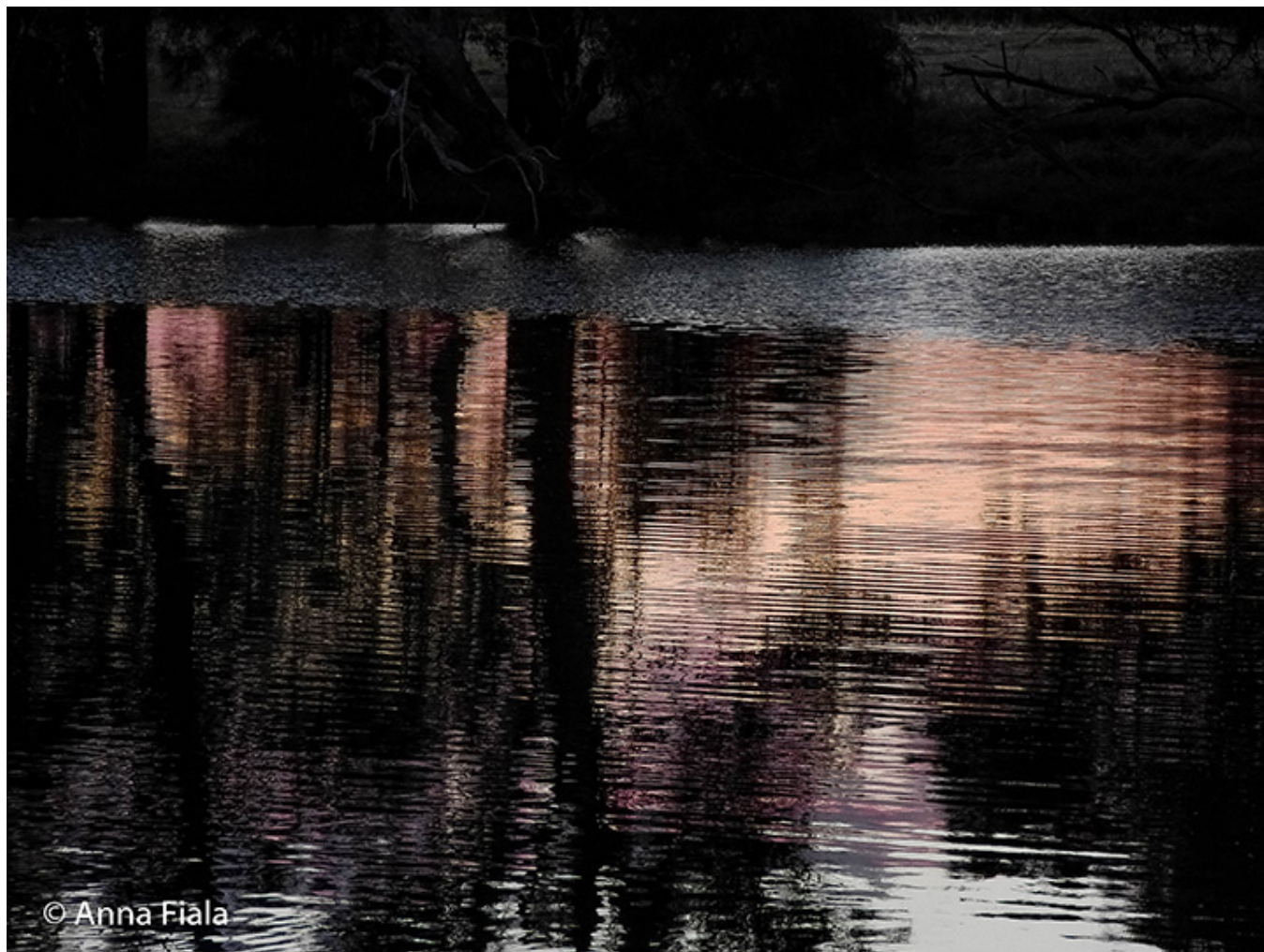
Jak

Dorodny Gibbon

Stare zegary

Pogrążone w antyku

Lub odwrotnie



Ślimak

Ułatwienia dla Leśnej Policji

Zawsze zostawia ślad

Ćma – agent

Ma szyfr

Na skrzydłach

Pani Pszczoło, Pani Biedronko

Poeta ksiądz Jan Twardowski

Powstaje z grobu

Dąb

Pnie się ku Niebu

Ale korzeniami tkwi w Ziemi

Kraska

Złodziejka

Kawałka Nieba



Bezdomny

Człowiek który wyżej od plastyku

Ceni tektury

Macron może

Pójść na makro

Ustąpić

Krew świętego się burzy

Wezuwiusz pass

Ludzie zaczynają oddychać w Neapolu

Anioły odżywiają się manną

Polując przy okazji

Na Niebieskie Ptaki



Ekskursje

pedagogiczne



Florian Smieja

Przeszedłszy na emeryturę w Kanadzie, zacząłem jeździć do Polski, by pomóc kształcić iberystów. Ekskursji tych było ponad szesnaście. Pierwsze wyprawy były do Wrocławia, potem do Opola i Częstochowy. Po spotkaniu Różewicza we Wrocławiu, widziałem go ponownie, kiedy odbierał kolejny doktorat honorowy w Opolu. Tamże witałem prezydenta emigracyjnego

Ryszarda Kaczorowskiego i generałowa Andersową.

Do osobliwych wizyt zaliczę pojawienie się w Opolu delegacji władz Galisji, cieszącej się w Hiszpanii autonomicznymi prawami i uprzywilejowanym językiem, z jej prezydentem Fraga Irribarne na czele. Pewnie sądzili, że przylecieli do pokrewnych *mutatis mutandis* Ślązaków mówiących respektowaną gwara. Jako tłumacz miałem dużo satysfakcji porozmawiać z Irribarne nie zdradzając, że byłem jedynym Ślązakiem na placu i do tego przejezdnym. Otrzymane później książki o pochodzącej z Galisji poetce Sofii Casanova Lutosławskiej podarowałem hispanistom wrocławskim.

Zapamiętałem huczne przyjęcie na zamku w Brzegu koło Opola wydane na cześć Kazimierza Kutza. Wyraziłem wtedy żal, że film "Śmierć jak kromka chleba" nosi nieśląski tytuł. Ślązacy "kromką" nazywają "piętkę", a przecież nie o to chodziło. Kutz wspominał, że przez wiele lat nosił się z zamiarem zrobienia filmu o emigracji całej śląskiej wsi pod przywództwem księdza do USA, gdzie założyli miejscowość Panna Maria w Teksasie. Plan nie doczekał się realizacji, bo fabuła zbyt wyraźnie symbolizowała tęsknotę całej Polski pod wodzą kardynała Wyszyńskiego. A chodziło po prostu o franciszkańskiego misjonarza, ks. Leopolda Moczygembę i mieszkańców śląskiej Płużnicy, którzy w 1854 roku popłynęli do Stanów Zjednoczonych z ziarnem siewnym, pługiem, krzyżem i dzwonem

kościelnym.



Polska parafia w miejscowości Panna Maria w Teksasie.

W czasie moich pobytów pedagogicznych we Wrocławiu, w latach dziewięćdziesiątych poznałem Noela Clarka (1925-2004). byłego korespondenta i pracownika radia BBC i tłumacza. Studiował w Oksfordzie germanistykę i romanistykę, opublikował m.in. przekłady dramatów Corneille'a i Kleista. Z czasem zaczął tłumaczyć poezję i teatr polski.

Dzięki zainteresowaniu Barbary Folty z telewizji wrocławskiej wystąpiłem z Noelem kilka razy przed kamerą, a w 1994 roku, w dwusetną rocznicę bitwy pod Racławicami, wydaliśmy razem dwujęzyczny tekst Teofila Lenartowicza "Bitwy Racławickiej".

Noel Clark przełożył ulubiony tekst angielskim wierszem, ale nie było jego polskiego wydania krytycznego, a polonista z Uniwersytetu Wrocławskiego proszony o pomoc, był przeciwny jego stworzeniu. Odmówił wszelkiej współpracy. Jako profesor gościnny nie lękający się akademickiego odium, postanowiłem sam tekst pilnie przygotować. Książka ukazała się na czas i stała się dostępna turystom pojawiającym się w Panoramie.

Mój bezsilny Zoil strofował mnie nazywając mój tekst kuriozalnym. Noel natomiast został zauważony, a po wydaniu przekładu trzech komedii Fredry, a także, ponoć świetnego, tłumaczenia "Wesela" Wyspiańskiego, uhonorowany przez władze polskie medalem za krzewienie kultury polskiej.

Tylko w Panoramie wycofano z niewiadomych powodów dwujęzyczną "Bitwę Racławicką".

Poległym należy się szacunek



Monte Cassino, fot. wikipedia.

Zdzisław Najder

Latem w roku 1960 udało mi się zrobić wycieczkę do Monte

Cassino. Sławny klasztor benedyktyński na szczycie wzgórza był wówczas dopiero odbudowywany po alianckim bombardowaniu. Wśród okolicznych mieszkańców pamięć o walkach sprzed 16 laty była jeszcze żywa i łatwo dopytałem o drogę do *cimiterio polacco*. Jest to z pewnością najpiękniejszy z włoskich cmentarzy wojennych. Prawdziwa nekropolia wielokulturowej II Rzeczypospolitej, z kwaterami katolicką, unicką, żydowską i prawosławną.

Kiedy chodziliśmy wśród grobów, odczytując napisy, zauważyłem nieopodal sporą grupę innych odwiedzających, mężczyzn i kobiet w średnim wieku. Niektórzy mieli w rękach wiązanki. Kiedy podszedłem do nich, ze zdumieniem przekonałem się, że mówią po niemiecku. Okazało się, że to weterani walk o wzgórze, którzy po odwiedzeniu cmentarza kolegów przyszli z rodzinami złożyć kwiaty na grobach przeciwników.

Do dziś pamiętam swoje zaskoczenie. Ale naprawdę nie powinienem był się dziwić. Szacunek dla poległych wrogów jest składnikiem kultury europejskiej. Czytamy o tym już o Homera. W *Iliadzie* Achilles, rozwścieczony na Hektora, bo zabił jego najbliższego przyjaciela Patroklesa, najpierw wyrzuca trupa – ale potem, prześlągany przez Priama i zawstydzony, oddaje mu pośmiertny hołd. I jest jasne, że tak być powinno.

Jest również dla Homera oczywiste, że nie należy zabijać

rannych, bezbronnych lub poddających się. Tak jest na dwa i pół tysiąca lat przed Konwencją Genewską; ale sama zasada istniała w cywilizacji europejskiej zawsze. Kiedy w styczniu 1945 roku widziałem, jak na wsi pod Piotrkowem Trybunalskim zabijano kolbami poddających się Niemców, z przerażeniem patrzyłem na te przejawy agresji, sprzeczne z naszą kulturą.

Broniąca ruin Monte Cassino I dywizja strzelców spadochronowych Wehrmachtu w obliczu nieuchronnej klęski, wycofała się z klasztoru, zostawiając na miejscu setkę rannych. Tam zajęli się nimi nasi ułani z 12 pułku Podolaków. Może wśród tych, których w 1960 roku widziałem, byli niegdysiejsi ranni?

Szacunek i litość, okazywane rannym i zabitym, można tłumaczyć na dwa sposoby. Pierwszy jest zdroworozsądkowy i zwykle wymieniają go socjologowie. Starogrecki wojownik, średniowieczny rycerz czy dwudziestowieczny żołnierz zdawał sobie sprawę, że i on sam może zostać ranny, może pójść w niewolę, może zginąć. Był więc skłonny pohamować wściekłość i ograniczyć nienawiść na rzecz tego, co po angielsku nazywamy *fair play*, czyli równe traktowanie.

Myślę jednak, że nie mniej ważne dla antycznych herosów i późniejszych zabijaków w zbrojach, albo skórzanych kaftanach było coś innego: szacunek do samych siebie. Myśleli: nie walczymy ze słabymi; jeżeli zwyciężamy, to silnych – więc

uznanie dla ich męstwa zwiększa nasze własne osiągnięcia. Dość siebie cenimy, by nie zabijać leżących i okazać wspaniałomyślność pokonanym. Znęcanie się nad słabszymi jest poniżej naszej godności.

Nie wolno też lekceważyć wpływów chrześcijaństwa, które głosiło trudną doktrynę szacunku dla każdej istoty ludzkiej, swojego czy wroga. Przebijała się ona z trudem przez skorupy barbarzyństwa.

<https://www.youtube.com/watch?v=U41nT3J3T4s>

Wojskowe Szkoły

Junaków – mało znany rozdział najnowszej historii Polski



Gen. Władysław Sikorski z wizytą w Heliopolis, w maju 1943, zaledwie na dwa miesiące przed tragiczną katastrofą w Gibraltarze. Źródło: Archiwum Muzeum Orlńskiego – Album Kosińskiego.

Prof. Adam Czesław Dobroński

Muzeum Wojska w Białymstoku

Tom napisany przez Henry Radeckiego, Polaka mieszkającego od powojnia w Kanadzie, jest opracowaniem oczekiwanym i oryginalnym. Tytuł *Młodzież Andersa* brzmi nieco tajemniczo, ale podtytuł nie pozostawia wątpliwości. Otrzymaliśmy książkę o polskich szkołach junaków i młodszych ochotniczek, którzy wydostali się z Rosji sowieckiej po zawarciu 30 lipca 1941 r. układu Sikorski-Majski. Przeżyli oni dramatyczny czas wywózek z domów rodzinnych, potem wegetowania na odległych obszarach imperium stalinowskiego, zmagania o przetrwanie. Po tak zwanej amnestii zdołali dotrzeć do obozów wojsk polskich gen. Władysława Andersa i dzięki mądrej decyzji przyszłego dowódcy 2 Korpusu Polskiego otrzymali szansę podjęcia nauki. Mieli za dużo lat, by wyjechać do osiedli urządzanych dla dzieci i ich opiekunów (głównie matek) w Australii, Indiach, Meksyku, Nowej Zelandii oraz w kilku rejonach Afryki, ale za mało, by zasilić „z marszu” oddziały wojskowe. Wojsko ich jednak przygarnęło, pomogło w ewakuacji z „kraju niewoli”, zadbało o zrazu trudne, potem znośne, a z czasem dogodne warunki bytowania, stopniowo także o kadrę wykwalifikowanych nauczycieli i wychowawców, z większymi trudnościami również o

pomoce szkolne. Jedyne to było takie - unikalne - przedsięwzięcie w okresie II wojny światowej, godne przypominania. Podobnie, jak jedyne na wielką skalę było tajne nauczanie w okupowanej Polsce.



Naoczny świadek bitwy pod Monte Cassino, korespondent wojenny Wiktor Ostrowski przekazuje swoje doświadczenia młodym lotnikom z Heliopolis. Czerwiec 1944. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego - autor.

Powstała sieć kilkunastu szkół: łączności - na ich absolwentów czekały niecierpliwie oddziały frontowe, junackich mechanicznych - najliczniejszych, też ściśle powiązanych z wojskiem, w tym czterech gimnazjów i jednego liceum, młodszych ochotniczek -gimnazjalistek i licealistek zasilających

Pomocniczą Służbę Kobiet, Gimnazjum i Liceum Lotniczego („Błękitni chłopcy”) – pozostającego pod opieką dowództwa Royal Air Force (RAF), Junackiej Szkoły Kadeckiej – wzorowanej na przedwojennym Korpusie Kadetów, z naciskiem na wiedzę i umiejętności wojskowe, szkół powszechnych – młodszej i starszej, przygotowującej chętnych do szkół zawodowych i gimnazjów, Junackiego Gimnazjum Kupieckiego – kształciło młodzież z myślą o zasileniu kadr handlowych w wolnej Polsce oraz innych jeszcze placówek i kursów. Poza wymienionymi szkołami, którym Henry Radecki poświęcił oddzielne rozdziały, wspomnieć należy jeszcze o Junackim Liceum Drogowym, szkołach powszechnych połączonych z zawodowymi oraz Gimnazjum Kupieckim i Liceum Pedagogicznym dla młodszych ochotniczek. Z przyczyn obiektywnych nie jest możliwym również dokładne opisanie wszystkim tych form edukacji, szkół ulokowanych w różnych miejscowościach, często reorganizowanych, otwieranych i zamykanych w różnych latach, zainicjonowanych jeszcze na południu ZSRS (Karkin Batasz, Guzar i Kitabu, Kermine, Wrewskoje).

Szkoły junaków i młodszych ochotniczek wykazywały się ambicjami i osiągnięciami w zakresie zdobywania wiedzy, przygotowywania wychowanków do służby wojskowej, kreowania wydarzeń kulturalnych, organizowania zajęć pozaszkolnych i zawodów sportowych, pożytecznego i przyjemnego zarazem spędzania czasu wolnego, poznawania atrakcyjnych okolic i

starożytnych zabytków. Starano się możliwie jak najlepiej, opieką niemal matczyną i ojcowską otoczyć ofiary wojny. Wzruszają i dzisiaj opisy przejawów patriotyzmu w warunkach stałej tęsknoty za wolną Polską, komplikującej się sytuacji politycznej w świecie, narastającego niepokoju, co przyniesie jutro. Szkoły junackie mogły na Środkowym i Bliskim Wschodzie realizować założone cele, pomagały im w tym rozliczne organizacje (przykładem ZHP, „Sodaliczka Mariańska”), zrozumienie i życzliwość wykazały władze brytyjskie. Młodzi z radością witali przedstawicieli Rządu Polskiego i Wojska Polskiego, osoby duchowne, gości budzących nadzieję w sercach, opowiadających o ukochanej ojczyźnie. Sami zaś wzbudzali sympatię wśród miejscowej ludności cywilnej, zadziwiali swą dzielnością, uczynnością, głęboką wiarą. To oczywiste, że pojawiały się i rozliczne trudności, dochodziły także złe wieści, odzywały się dokuczliwości sieroctwa, nawroty chorób.

Henry Radecki postarał się, by zawrzeć w swym tomie bogaty zestaw faktów, co nie było ani łatwe ze względu przede wszystkim na braki źródeł, zaginięcie skrzyń z dokumentami przejętymi przez władze brytyjskie. Autor powracał wielokrotnie do najważniejszych jego zdaniem danych liczbowych, dat i nazwisk, schematów organizacyjnych i wniosków. Czynił to kierując się pragnieniem, by czytelnicy w Polsce dobrze zapamiętali niezwykle dzieje wyjątkowych szkół, wczuli się w tamte realia i marzenia, radości i smutki. Radecki dodał – co

bardzo ważne – oryginalne oceny i szacunki, które częściowo różnią się od dominujących w Polsce. Ale i w kraju utrzymują się przecież rozbieżności, na przykład odnośnie liczby obywateli II RP (nie tylko narodowości polskiej) wywiezionych w latach 1939-1941 przez okupantów sowieckich, także procentowych szacunków osób zmarłych i zaginionych na „niehumanitarnej ziemi”. W trakcie prac redakcyjnych postanowiliśmy pozostawić niektóre terminy utrwalone w środowiskach emigracyjnych (przykładem kampania wrześniowa 1939 r.), jak najmniej ingerować w styl narracji autora, w pierwotny układ książki.



Wizyta zespołu teatralno-kabaretowego w Heliopolis. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego – Album Kosińskiego.



Niespodziewany wylew Nilu zatopił obóz w Heliopolis. Ucierpiały namioty sypialne, ale uratował się dwupłatowiec. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego – autor.

Tom ten ma charakter monografii, ale jest jednocześnie i dokumentem, powstawał długo i sędzę, że pozostanie ostatnią publikacją napisaną przez polskiego junaka czasów II wojny światowej. Autor utrzymywał przez dziesięciolecia więzi z koleżankami i kolegami z opisywanych szkół, prowadził ofiarnie poszukiwania materiałów, gromadził pamiątki historyczne. Pisząc książkę wykorzystywał zebrane relacje i odnalezione dokumenty, opracowania (głównie emigracyjne) i artykuły prasowe, także jednak wplatał w tekst własne refleksje. H. Radecki dołączył do junaków w kwietniu 1942 r., przebył szlak od opuszczenia Związku Sowieckiego przez Persję (Iran), Palestynę do Egiptu. Nie powrócił do Polski, za to aktywnie

uczestniczył w życiu emigracji i nadal opiekuje się „Pokojem Andersa” w Wawel Villa w Mississaudze, części wielkiego Toronto. To tam zrodziła się przed rokiem myśl wydania tej książki przez Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie we współpracy z Muzeum Wojska w Białymstoku.

Absurdem byłoby streszczanie zawartości *Młodzieży Andersa*, natomiast chciałbym wskazać na wydane w Polsce opracowania dotyczące szkół junackich. Było ich nie tak wiele, często nie obejmowały wszystkich wątków, ale warto po nie sięgać. Żyjący w kraju byli uczniowie i wychowankowie szkół junaków i młodszych ochotniczek też w miarę możliwości podtrzymywali kontakty między sobą, co stawało się coraz łatwiejsze od lat siedemdziesiątych XX stulecia. Ich dzieje wplotły się w legendę Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, ta nabrała blasku po 1989 r.

Z pozycji najdawniejszych, wydanych jeszcze w PRL, należy wspomnieć opracowanie Tadeusza Bugaja: *Obozy i szkoły junackie dla młodzieży polskiej na obczyźnie w latach 1941-1947* („Prace Karkonoskiego Towarzystwa Naukowego” 1979, nr 13) oraz Witolda Lisowskiego: *Polskie korpusy kadetów 1765-1956. Z dziejów wychowania* (Warszawa 1982 r.; tenże autor opublikował artykuł o kadetach na łamach „Wojskowego Przeglądu Historycznego”, 1987, nr 3). Znacznie szerzej temat swej książki zakreslił Jan Draus: *Oświata i nauka polska na*

Bliskim i Środkowym Wschodzie 1939–1950 (Lublin 1993). Mniej lub bardziej rozbudowane informacje o szkołach junaków i młodszych ochotniczek podawali autorzy monografii Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, a przykładem może być tom Piotra Żaronia: *Armia Andersa* (Toruń 2000). Materiał o szkołach junackich w Nazarecie i Barbarze zawiera także album *Tułacze dzieci* (Warszawa 1995).



Uczennice Gimnazjum Kupieckiego witane przez dyrektora oddziału banku PKO (Pocztowa Kasa Oszczędności) w Tel

W 2001 r. ukazał się pierwszy z trzech tomów o wspólnym podtytule: *Szkolnictwo i oświata polska na Zachodzie w czasie II wojny światowej*. W tym inauguracyjnym tomie: *Przez burze pod wiatr* (red. T. Zaniewska, Białystok 2001) znalazły się między innymi teksty: Adama Czesława Dobrońskiego o Junackim Gimnazjum Kupieckim, Marii Radomskiej o szkole junaczek i szkołach młodszych ochotniczek w Armii Polskiej na Wschodzie a także Stefanii Walasek o dziejach szkół na Bliskim i Środkowym Wschodzie oraz w Afryce (zarys problematyki). Tom następny: *Światło wśród burzy* (red. T. Zaniewska, N. Pospieszny, Z. Stankiewicz, Białystok 2004) zawierał artykuł A. Cz. Dobrońskiego o III Junackiej Szkole Mechanicznej i przedruk artykułu W. Lisowskiego o Junackiej Szkole Kadetów (1942-1948). Natomiast tom III nosił tytuł: *Nauczyciele-uczniowie. Solidarność pokoleń* (red. T. Zaniewska, Warszawa 2007) i pomieścił artykuły: A. Cz. Dobrońskiego o obozach letnich dla młodszych ochotniczek oraz Ewy Romanowskiej o rozwoju sportu w polskich szkołach junackich na Bliskim Wschodzie w świetle kronik „Junaka”.

W 2007 r. w nr 32 „Zesłańca” (kwartalnik ZG Związku Sybiraków) Wojciech Narębski opublikował tekst: *Generał Władysław Anders – opiekun młodzieży żołnierskiej*, a M. Radomska: *W 65. rocznicę rozkazu gen. Władysława Andersa o*

*utworzeniu szkół junaczek i junaków w ZSRR. Rok później ukazała się pozycja: *Polskie dzieci na tułacznych szlakach 1939-1950* (red. J. Wróbel, J. Żelazko, Warszawa 2008).*



Pamiętna wizyta: Polki z Amerykańskiego Czerwonego Krzyża przyjechały z darami dla młodzieży, przywożąc ręczniki, skarpetki i słodczyce. Heliopolis, kwiecień 1944. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego – autor.

Za cenne, ostatnio wydane książki, można uznać opracowania między innymi Jacka Pietrzaka: *Polscy uchodźcy na Bliskim Wschodzie w latach drugiej wojny światowej. Ośrodki, instytucje, organizacje* (Łódź 2012); Marka Ney-Krwawicza: *Na pięciu kontynentach. Polskie dzieci i młodzież na tułacznych szlakach*

1939-1950 (Warszawa 2014); Edyty Sadowskiej i Beaty Urbanowicz: *Edukacja historyczno-kulturalna w szkołach junaków i młodszych ochotniczek (1941-1948)* (Częstochowa 2015). Przybyło również artykułów, w tym na tematy wykraczające poza oświatę junaków i młodszych ochotniczek, czyli o szkołach działających przy 3 Dywizji Strzelców Karpackich („Szkoła Karpacka”) i 5 Kresowej Dywizji Piechoty oraz kursach maturalnych dla żołnierzy oraz ochotniczek z Pomocniczej Służby Kobiet, a także o szkołach dla młodzieży polskiej powstałych po wojnie we Włoszech i Wielkiej Brytanii.

Można mieć nadzieję, że odnajdą się jeszcze materiały źródłowe do dziejów szkół junackich w archiwach, muzeach, zbiorach prywatnych i to zarówno w Polsce, jak i w środowiskach emigracyjnych. W zasobach Instytutu Polskiego i Muzeum Sikorskiego w Londynie znajdują się dość liczne dokumenty, kroniki i relacje. H. Radecki korzystał z tych zasobów, starałem się i ja je penetrować, a wysiłki te należy kontynuować. Przykładowo wskazać można na kronikę z I Letniego Obozu Wypoczynkowego dla Szkół Junackich w Sidi-Bishr (przedmieście Aleksandrii), zorganizowanego latem 1944 r. (sygn. C.388). Umieszczono w niej kopię listu gen. W. Andersa z 22 lipca:

Zakończyliśmy zwycięską bitwę pod Ankoną, bijąc się o nią biliśmy się o Polskę. Wierzimy, że pomimo wszystko

wykończymy w rezultacie choć kolejno wrogów naszej Ojczyzny...



Szczęśliwi, już prawie junacy. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego - Junacka Szkoła Kadetów.

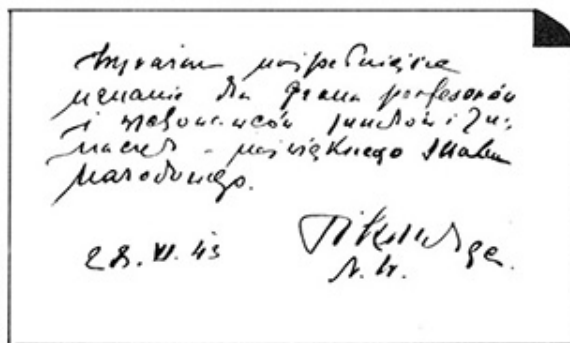
Generał podziękował „kochanym Dzieciom” za „tak bardzo drogą” dla niego pamięć i za listy. Ciekawe są opisy obozów letnich młodszych ochotniczek urządzonych w 1945 r. w Atlicie koło Hajfy, Barbarze, Jerozolimie, Nazarecie i w Ośrodku Uzdrawieńczym w Tyberiadzie (turnusy lecznicze). Stacja Uzdrawieńcza dla uczniów powstała w lutym 1943 r., posiłki wydawano tu pięć razy dziennie, przeprowadzano badania

lekarskie, obowiązkowe było leżakowanie, wyjeżdżano na kąpiele zdrowotne siarczane i solankowe. Wychowawcy zapoznawali młodzież z dziejami Ziemi Świętej, prowadzili zajęcia z geografii i historii Polski. Każdy kolejny turnus prezentował przedstawienia teatralne, podtrzymywano więź z osobami duchownymi z okolicznych parafii i zakonów, powiększał się księgozbiór biblioteki, pięknie prezentowała się świetlica (sygn. C 309).

Powstaje pytanie, co można jeszcze zrobić, by skuteczniej spopularyzować szkoły junackie, dowieść ich wyjątkowości? Najłatwiej byłoby opracować i wydać album z uwzględnieniem przynajmniej najważniejszych typów szkół, pokazaniem warunków w jakich one pracowały, zajęć nie tylko szkolnych, składu osobowego kadry i grup uczniowskich. Utrudnieniem w tym dziele będzie fakt, że znaczna część zachowanych fotografii nie została dokładnie opisana, różna jest też ich jakość. Bardziej pracochłonnym zadaniem będzie zestawienie najważniejszych dokumentów do dziejów szkolnictwa polskiego na Środkowym i Bliskim Wschodzie. Czy można jeszcze liczyć na odzyskanie wspomnianej, utraconej dokumentacji z 41 skrzyń? Okaże się to po dodatkowych kwerendach w archiwach brytyjskich. Do wspomnień wydanych już drukiem trzeba dodać relacje przechowywane w archiwach i zbiorach prywatnych, ale czy to wystarczy na napisanie tomu o dalszych losach „młodzieży Andersa”, ich adaptacji w różnych krajach świata, również w Polsce? Autor takiej publikacji musiałby postawić pytanie, na ile

wiedza zdobyta w szkołach junackich pomogła wychowankom w ich życiu dorosłym, w ich karierach zawodowych. Jeszcze trudniejsze pytanie brzmi: czy programy nauczania, zwłaszcza realizowane w omawianych szkołach pod koniec wojny i po jej zakończeniu, były dostosowane do zmieniającej się rzeczywistości politycznej, która praktycznie zamknęła junakom i młodym ochotniczkom drogę do Polski? Bardziej jednoznacznie wypada ocena wysiłków kształtowania charakterów tej społeczności, jej postawy patriotycznej i obywatelskiej. Tej kwestii wiele uwagi poświęcił również H. Radecki.

W latach 1943-1946 szkołę odwiedziło wielu dostojnych gości – generałowie Władysław Sikorski, Kazimierz Sosnkowski, parokrotnie Władysław Anders, pułkownicy Iżycki i Bobrowski, ministrowie Strasburger i Zazuliński, biskup połowy WP J. Gawlina i wielu innych. Szczególnie częstym gościem był opiekun szkoły gen. Ludomił Rayski, dowódca Polskich Sił Powietrznych na Środkowym Wschodzie. Z okazji tych wizyt w obozie organizowano defilady, podczas których uczniowie przemarszem w dwóch kompaniach przed trybuną honorową oddawali cześć wizytującemu ich Wódzowi Naczelnemu i innym przedstawicielom kadry dowódczej WP oraz wyższym oficerom alianckim.



Wpis gen. W. Sikorskiego do kroniki młodych lotników.
Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego – Białłiti chłopcy...



Apetyt rośnie w miarę jedzenia. Podziękujemy autorowi za jego cenne dzieło, przeczytajmy je starannie i miejmy nadzieję, że po upływie 70 lat od zamknięcia tej pięknej karty oświaty polskiej będą kontynuowane badania nad szkołami junaków i młodszych ochotniczek. Trzeba koniecznie dołożyć starań, by trwale upamiętnić pokolenie „młodzieży Andersa”.

Fotografie pochodzą z książki „Młodzież Andersa”.

Posłowie prof. Adama Dobrońskiego do książki Henry Radeckiego „Młodzież Andersa. Wojskowe Szkoły Junaków 1941-1947”.